



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

WIADOMOŚCI

WROCLAW, ul. PODWALE 62

wydanie

2 6

2 8 -06-1973



„BEZSENNOŚĆ”

W PROGRAMIE poświęconym sztuce pani Lucille Fletcher nie ma końca zachwytem nad jej osobistymi walorami oraz niebotycznymi wprost wartościami jej pisarstwa. Z żalem przyznaję, że ominęła mnie przyjemność osobistego poznania pani Fletcher i stąd trudno mi zająć stanowisko w sprawie tak delikatnej, jak jej niewieście wdzięki i zalety jej ducha. Natomiast w sprawie drugiej, dzięki prapremierze (co z nieukrywaną satysfakcją program podkreśla) da się już to i owo powiedzieć.

Autor wypowiedzi zamieszczonej w programie pisze: „Pasjonowała

ją (panią Fletcher — przyp. MD) zawsze motanie wątków, które — bo taka jest specyfika tego gatunku literackiego — muszą się na końcu dzieła zejść, związać, tłumaczyć logicznie — tak żeby żadna luźna nitka nie pozostała poza kłębkami”. I tu ma rację Tymczasem jednak w sztuce pani Fletcher wątki wcale tak idealnie się nie wiążą, a luźnych nitek poza kłębkami pozostaje cały kłęb. Bo nie wyjaśnia się rola, jaką w całej sprawie odegrało dwoje głównych bohaterów — John Wheeler (Bogusław Danielewski) i Blanche Cook (Irena Remiszewska), choć wiemy, że także wobec siebie nie działali z pełną otwartością i zaufaniem, skoro Blanche sprawdza kim naprawdę jest sprowadzona przez Johna dr Lake (Zdzisława Młodnicka). Do końca zresztą nie wiemy czy była naprawdę lekarzem (jej medyczne umiejętności na to nie wskazują), czy też podstawioną przez Johna hochsztaplerką. Niejasna jest także rola p. Appleby i Helgi, a także sprawa podpisania przez Helenę upoważnień majątkowych dla męża. Swoją drogą warto byłoby dochodzić tych wszystkich zawiłości tylko wtedy, gdyby to coś wyjaśniało.

Tymczasem tak naprawdę w utworze pani Fletcher o nie nie chodzi, więc i wszystkie „rozkosze łamania głowy” na nic.

Sądzę, że zawiniły tu zgodnie — autorka, którą nieco usprawiedliwia fakt, iż jest to jej pierwsze „dzieło sceniczne” i reżyserka, która z podobnego usprawiedliwienia nie może korzystać. Jeśli tekst nie pozwala na wyjaśnienie expressis verbis licznych dwuznaczności i niedopowiedzeń, należało zrobić to za pośrednictwem działań bohaterów. Także niektóre postacie zostały przez reżysera poprowadzone niewłaściwie. Andrzej Gazdeczka jako sierżant Vanelli jest postacią farsową, podczas, gdy powinien co najwyżej wyróżniać się pewnymi śmiesznostkami. Nikt nie uwierzy (a przecież o taką wiarę realizatorom chodzi), że tak może wyglądać mundurowy policjant w wielkiej amerykańskiej metropolii. Nieco podobnie nakreślona została sylwetka inspektora Walkera (Ferdynand Matysik). Rozumiem, że reżyserce zależało na wyeksponowaniu akcentów komediowych. Bardzo prawdopodobne, że pójście tą drogą do końca, poprowadzenie przedstawie-

nia w kierunku farsy, w której aktorzy bawiliby się swoimi rolami, dałoby efekt najbardziej prawidłowy, stworzyłoby klimat niewymuszonej rozrywki. Tak się jednak nie stało i przerysowania w paru epizodach są rażące.

W najwłaściwszym tonie utrzymana postać Helgi. Jadwiga Ziemiańska — była zabawna, ale jednocześnie prawdziwa. Spośród trójki głównych wykonawców, w pierwszej części przedstawienia, najmniej przekonująco zagrała Iga Mayr (Helena Wheeler). W dalszych odsłonach trójka ta stanowiła wyrównany aktorsko trójkąt małżeński. Dość ciekawą, bo wnoszącą oryginalny klimat, choć w kontekście sztuki niedookreśloną postać stworzył Zygmunt Bielawski (Pan Appleby).

Najzabawniej jednak w widowisku funkcjonuje scenografia Marcina Wenzla. Nie dlatego, iżby ją ożywiało jakieś szczególne poczucie humoru, ile raczej z tej przyczyny, że pomyślana naturalistycznie, kreowana na wzór filmów o bogatych businessmanach, jest jednocześnie ogromnie tandetna, co wywołuje

efekty niezamierzenie komiczne. Na przykład udający marmur postument chwiewie się niepokojąco przy podnoszeniu słuchawki stojącego na nim telefonu, umieszczone w ścianach skrytki otwierają się w najmniej oczekiwanych momentach, wydając skrzypienie charakterystyczne dla dykty, itp. Ukoronowaniem wszystkiego jest jednak finał. Otóż nagle, w ostatniej odsłonie, dwie ściany zmieniają całkowicie położenie w stosunku do pozostałych, które spokojnie stoją na dotychczasowym miejscu, a wszystko po to, abyśmy mogli zobaczyć parę kochanków pomordowanych dwoma celnymi strzałami przebiegłej małżonki. Technika, nawet jak na amerykańskie wyuzdanie mieszkaniowe, wyjątkowo imponująca.

Zastanawiam się często, po co tego rodzaju sztuki, książki, filmy przybliży się polskiemu odbiorcy. Zgadzałem się, że czasem i kryminał może nieść interesujące wartości, ale tylko czasem i trzeba tu dokonywać ostrożniejszego wyboru niż w każdym innym przypadku.

MIECZYSLAW DZIEDZIC